Obława czyli Wojna to nie wojenka

"Obława" idzie - *nomen omen* - jak burza. Co festiwal, to nagroda! Ostatnio najbardziej nieprawdopodobna z nieprawdopodobnych, krakowski laur (Krakowska Nagroda Filmowa + 100 tys. dolarów) dla najlepszego filmu w Konkursie Głównym Off Plus Camera 2013. Bo przecież nikt się nie spodziewał, że akurat krakowski reżyser dostanie najwyższe noty akurat w Krakowie, więc twórcy filmu pewnie najmniej. Niesłusznie. Film wart jest swoich Orłów, Lwów, Słonia i uśmiechu Złotej Żaby... międzynarodowe jury w Krakowie tylko to potwierdziło.

Nagradzana obficie "Obława" należy do najczęściej recenzowanych filmów przełomu 2012/2013, (no, może obok "Pokłosia", jeśli podliczyć recenzje i antyrecenzje). Dla recenzenta więc też nie lada wyzwanie, w końcu po co się powielać? Napiszę zatem głównie o tym, o czym nie ma w innych recenzjach. A zacznę od tego, że dla mnie to przede wszystkim film współczesny, nie zmyliła mnie akcja osadzona w czasie wojny. "Obława" to - jeśli już go koniecznie klasyfikować - psychologiczny thriller rozgrywający się w nienormalnych warunkach, jakie stwarza dla normalnych ludzi wojna, o ile pojęciu "stwarzać" odjąć pozytywną konotację.

http://www.youtube.com/watch?v=4qvpl7v49kc

Bo to jest tak: grupka "najważniejszych głów w państwie", polityków, finansistów, przemysłowców i wojskowych w elegancko urządzonym gabinecie pochyla się nad mapami i postanawia, że jedynym wyjściem z burdelu, do jakiego doprowadziła kraj, jest wojna! I tym samym zniesieniu ulega i tak już bardzo kruchy system, który w czas pokoju zabrania ludziom wzajemnego zdradzania się, grabienia i zabijania.

Niektórzy, ci co bardziej młodzi, którzy jeszcze nie wiedzą jak smakuje prawdziwa wojna, cieszą się nawet, bo pachnie im to nieznaną przygodą, nie znają jej prawdziwych zapachów. Wyruszają "na podbój świata", a wracają w najlepszym razie jako zwykli inwalidzi wojenni, w gorszym - w trumnach, w najgorszym - jako psychiczne kaleki na resztę życia. Tak, tak, w tej kolejności, śmierć może być lepsza, niż życie ze wspomnieniami tego, co się przeżyło - to, co przeżyli, nie nadaje się do opowiedzenia nawet samemu sobie, a gnębi dożywotnio.

Niekiedy, o ile talent na to pozwala, dokonują osobistego katharsis i piszą "Na zachodzie bez zmian" (Erich Maria Remarque), "Armagedon w retrospektywie" (Kurt Vonnegut) czy "Paragraf 22" (Joseph Heller) przedstawiając absurd i okrucieństwo wojny. Tylko że mało kto ich czyta, a nawet jeżeli, to w decydującym momencie i tak nie można (było) zdezerterować, bo za to w najlepszym razie kula w łeb, w najgorszym "Sondereinheit" - "jednostka specjalna" od najpotworniejszych zadań, po których - patrz wyżej - lepiej umrzeć, niż żyć z takimi wspomnieniami.

Jedni ludzie nasyłani są na drugich i mają się nawzajem mordować, choćby nie wiem jak bardzo nie chcieli się ani zabijać, ani umierać. Była taka niezwykła sprawa: Na święta bożego narodzenia 1914 roku na froncie niedaleko Ypres żołnierze niemieccy i francuscy samowolnie zawiesili broń i złożyli sobie nawzajem życzenia. Wiemy, jak skończył się ten bezprecedensowy "rozejm bożonarodzeniowy"! A tak, że "dowódcy z obu stron starali się potem nie dopuszczać do prób bratania się, zarządzając na dni świąteczne ostrzał artyleryjski." *(z Wiki)*

I nic nie pomagało, w dwóch wojnach światowych jedne narody chrześcijańskie napadały na inne, najważniejsze przykazanie dekalogu "nie zabijaj!" traktując dokładnie na odwrót "zabijaj! i to jak najwięcej!". Bilans I. wojny światowej - 20 milionów zabitych + 22 miliony kalek, bilans II. - 55 milionów zabitych + 35 milionów kalek. Niepoliczalna ilość z psychicznymi traumami raz na zawsze, często trudnymi do zniesienia wspomnieniami niemal niemożliwych do udźwignięcia (wy)czynów.

Miliony ludzi to pojedyncze losy i pojedyncze śmierci. A każdy los jest inny, każda śmierć jest osobna. Gdyby tak tych panów z gabinetu wygonić do lasu i urządzić sobie na nich obławę? Poszczuć psami? Przeciągnąć przez bagno, głód, ból, strach, mróz i smród...?... Ale gdzie tam! Oni bardzo często wychodzą z wojny cało! Ba, z zyskami [1]. A nawet jeśli na końcu popełniają samobójstwo, albo dostają wyrok śmierci w powojennym procesie zbrodniarzy

wojennych, to i tak nie bardzo rozumieją dlaczego. Gdyby bowiem rozumieli potem, to najprawdopodobniej rozumieliby i przedtem.

I oto miliony ludzi, którzy nigdy w życiu się nie widzieli, nic do siebie nie mają, w czasach pokojowych nigdy by się nie spotkali, a jeśli nawet, to niczego złego by sobie nie życzyli, stają naprzeciwko siebie i... albo-albo. A im niżej są w hierarchii społecznej, tym bardziej muszą ze sobą walczyć wręcz. Tym bliżej twarzą w twarz naprzeciwko siebie stają. Dawniej, dawniej, to choć dowódcy wrogich wojsk się ze sobą ścierali, w naszych czasach już nie. A szkoda, ustawka Hitlera ze Stalinem w 41. roku aż do pozabijania się wzajemnego, to byłby właściwy scenariusz. Albo Busha z Saddamem...

W naszym cywilizowanym XX(/XXI) wieku ci, którzy o zabijaniu decydują, a ci, którzy się nawzajem zabijają, to dwa odległe od siebie światy i sytuacje. Oto mamy na przykład 20 stycznia 1942 roku. W pięknej willi o nobliwym adresie, przy Großer Wannsee 56/58 w Berlinie - klasycystyczny styl, wypielęgnowany park z wdzięcznymi putami - zbiera się 15 facetów i wydaje wyrok na 11 milionów ludzi, jak oni, Europejczyków. Często o wiele lepiej wykształconych i utalentowanych niż oni, ale nawet jeśli nie, nawet jeśli są to dzieci, które dopiero mają iść do szkół... albo starcy, którzy już swoich nauk nie pamiętają, mają umrzeć! Bo grupka wypranych z uczuć i wyobraźni psycholi tak postanawia (*de facto* zatwierdza, co już się dzieje)!

A dlaczego to robią? Bo mogą. Tu chciałoby się powiedzieć o wiele dosadniej: bo, ku*wa, mogą! Tak właśnie. Psycholog Philip Zimbardo tak długo badał to zagadnienie, aż w końcu doszedł do bardzo zatrważającego wniosku. Jeśli człowiek może zrobić coś złego, to najprawdopodobniej to zrobi. Wystarczą trzy nakładające się na siebie czynniki: system - sytuacja - predyspozycja.

Zimbardo jest autorem słynnego eksperymentu z 1971 roku, w którym jedni studenci udawali więźniów, drudzy więziennych wartowników. I cóż się okazało? Że "wartownicy" gnębili "więźniów", choć przecież nie musieliby, bo to tylko taka umowna zabawa była, a "więźniowie" to ich koledzy z uczelni. Ale mogli, więc gnębili! Zimbardo nazwał to zjawisko "efektem Lucyfera" [3].

Ktoś powie, no, tak, ale nawet jeśli system zezwala, a sytuacja sprzyja, to przecież pozostaje jeszcze predyspozycja, my, ludzie, w większości nie jesteśmy przecież źli, jesteśmy dobrzy! Pomagamy sobie nawzajem, kochamy się, albo przynajmniej lubimy, jesteśmy sobie życzliwi, mamy dekalog, wierzymy w Boga i w niebo, chodzimy do kościoła, boimy się piekła...

To prawda, ale tylko, gdy zabezpiecza nas system. Anegdotka o panu Zdzisiu, ślusarzu, *najobrazowiej* to oddaje [4]. Zacina się komuś zamek, pan Zdzisiu pędzi na ratunek, trzask-prask i drzwi otwarte. Ale, jak to, przecież to nie może być takie proste? - dziwi się właściciel... A właśnie, że jest, ripostuje ślusarz Zdzisiu, bo, widzi pan, jeden procent ludzi to złodzieje i choćbyś się pan nie wiem jak zabezpieczał, jak się uprą i tak pana okradną, jeden procent to ludzie tak uczciwi, że choćby mieszkanie cały czas było otwarte, nie ruszą niczego. To dla pozostałych 98 procent montujemy zamki, bo gdyby ich nie było, to nigdy nie wiadomo... jak to się mówi? Okazja czyni złodzieja? No, właśnie!

No, więc właśnie, wojna, to jest taki system bez zamków. Nagle wszystkie domy stoją otworem. Można wejść i coś zabrać, okraść właściciela. Taki eksperyment Zimbarda, tyle że naprawdę. Wolno być złym. I normalny człowiek złym się staje. Zimbardo przeciwstawia temu osobowość "hero", "bohatera", ale niekoniecznie tego wojennego, który rzuca się na wroga, bo i tak nie ma innego wyjścia. "Bohater" Zimbarda to człowiek o wewnętrznej busoli mówiącej mu, co wolno, a co nie, bez zamka w drzwiach.

Czas wojny, to system bez zamków w drzwiach, to zniesienie obowiązujących zabezpieczeń. W ten system wpisują się losy pojedynczych ludzi. Nikt nie jest aniołem, nikt nie jest diabłem. Ale ludzki los wahający się między tymi dwiema granicami gdzieś pośrodku w czas pokoju, w czas zły przechyla się w kierunku złym.

I o tym jest film "Obława". Mamy las, w lesie oddział podziemnego polskiego wojska i forpocztę oddziału niemieckiego, wytyczającego teren obławy. Obława wisi nad lasem, nad ludźmi w lesie i nad nami, widzami, przez cały czas trwania filmu. Czasami słychać ją, jak nadciągającą burzę.

"Za kilka dni pójdzie obława... ekspedycja karna, parę tysięcy złodziei i gwałcicieli, i tego typu hołoty z psami... lubisz zwierzęta?" - główny bohater filmu kapral AK, pseudonim "Wydra", ostrzega swojego szkolnego kolegę *sprzedwojnia*, właściciela młyna, którego prowadzi przez las, żeby w odpowiednim miejscu - nie za blisko obozu partyzantów, żeby trupi odór nie dochodził - wykonać na nim wyrok za kolaborację z Niemcami, na wypadek, gdyby zachciało mu się ucieczki.

Film składa się z posklejanych niechronologicznie scenek układających się w logiczną całość. Jak to thriller: kto jest kim i skąd to wynika, kto komu i co ma z tego...?... losy dwóch mężczyzn powiązane są ze sobą losami dwóch kobiet... kto z kim i dlaczego nie, kto zginie, kto przeżyje... na razie, bo przecież... idzie obława...

Jako lekturę uzupełniającą przeczytałam po filmie książkę Leszka Gondka "Polska karząca 1939-1945. O polskim podziemnym wymiarze sprawiedliwości w okresie okupacji niemieckiej" [2]. Dotyczy jednak bardziej społeczeństw miejskich, głównie Warszawy, Krakowa... Tu zachowanie rozdziału okupantów od okupowanych było o wiele łatwiejsze, niż na Śląsku, gdzie dzieje się film i gdzie rozdział Niemców od Polaków był dużo mniej jednoznaczny. Jak śląski język, przemieszany niemal homogenicznie. Przed wojną ludność pogranicza żyła obok siebie i ze sobą. W czasie wojny nagle miałoby się zrobić inaczej? Oddział Wydry miał tu dużo do zrobienia. No, i śpieszyć się musiał, bo... obława!...

* * *

Film jest w moim odczuciu współczesny, to już powiedziałam, ale mógłby być też spektaklem teatralnym. Ważne są w nim napięcia między głównymi bohaterami, ich tajemnice, ich wzajemne powiązania, cała ta tworząca nastrój psychologia i zagadka w ogólnym nastroju grozy i beznadziei, wojny w ogóle i obławy tuż zaraz. Ważny jest dialog. Jak on nie jest współczesny, to ja jestem leśny krasnal. A, las, las jest filmowym dodatkiem. Las ten film *uprawdziwia*, las jest niewinny. Jak to las, ciemny i cichy nad wszystkim, co się w nim dzieje.

Tylko raz ciszę leśną przerywa muzyka [5]. Z niemieckiego tranzystora. Wesoło skoczna i przez to tym bardziej straszna, bo i im, młodym niemieckim chłopakom w obcym lesie, przygrywa do śmierci. Czy Niemcy puszczaliby na cały regulator muzykę w lesie pełnym zagrożeń? Czy pani młynarzowa goliłaby sobie nogi w czasie wojny? Nawet jeśli była elegantką? Czy miałaby usta aktorki, która ją gra, widocznie "poprawione"?

To takie moje pytania do reżysera, bo choć film wart jest swoich nagród (ten nastrój i ta zagadka... aktorów osobno pochwalę), to albo parę spraw jest puszczonych (czy włosy rosną po wewnętrznej stronie ud - nie licząc ich zwieńczenia - żeby je tam golić? [6] czy zupa wg przepisu z filmu wyglądałaby jak gorąca woda, czy raczej miałaby konsystencję brei i mętny kolor?), albo mają znaczenie pozarealistyczne, mają zadziałać na widza nie prawdą, a siłą? Jeśli tak, to zgoda.

Marcin Krzyształowicz, reżyser i scenarzysta, rocznik 1969, zrobił film fikcyjny opierając się na jednym fakcie rzeczywistym, uprowadzenia młynarza Kondolewicza, konfidenta. Miało to miejsce w 1944 roku. Ojciec reżysera faktycznie był w czasie wojny partyzantem i miał pseudonim "Wydra". Cała intryga poza tym jest wymyślona i choć film dedykowany jest Adamowi Krzyształowiczowi, nie wiadomo, co przeżył w czasie wojny, bo o tym nie opowiadał.

Gra go Marcin Dorociński i robi to naprawdę dobrze. Wierzymy mu, że naciskanie cyngla, to tylko naciskanie cyngla, a nie zabijanie człowieka, tak zobojętniał. Maciej Stuhr w roli czarnego charakteru? Tak! I to jak wytrawnie! Młynarz pełną gębą w płaszczu z futrzanym kołnierzem, lokalny burżuj z niekochającą go żoną. Żona. Gra ją Sonia Bohosiewicz. Kolejna tragiczna postać. Uwierzyłabym jej bardziej, gdyby nie te usta, tak współczesne, że aż powinny być aktorkom zakazane, bo jak mają grać kobiety z czasów przedbotoksowych?

Weronika Rosati jako piękna dziewczyna wśród partyzantów biorących brom na wstrzymanie? A jednak udało jej się przy całej swojej urodzie zagrać sanitariuszkę o niecnych planach i plany przyćmiły urodę, więc brawo, oby więcej takich ról dostawała!

No i wszystkie epizody dopracowane jak szczegóły spod pędzla dobrego malarza: Andrzej Zieliński jako chory porucznik Mak, któremu nie jest wszystko jedno, Bartosz Żukowski - partyzant Waniek, tak, tak, zupełnie inny niż "Walduś" (Kiepski), Alan Andersz - sympatyczny jak zawsze, tak i tu, Andrzej Mastalerz, zawsze go lubię, nawet w najmniejszej roli. Anna Guzik gra tłumaczkę w niemieckim biurze, ostro i zdecydowanie, Zbigniew Kosowski, sprzedawca mąki na obie strony dostający solidny wpie*dol... też go chwalę, bo wiem, że to bardzo dobry aktor, poza tym że mój osobisty znajomy...

No i dwie role szczególnie zasługujące na zapamiętanie, bo ostatnie w karierze tych aktorów, Alicji Bienicewicz (5.1.1954-13.8.2012) i Jerzego Nowaka (20.6.1923-26.3.2013).

Film zebrał Orły 2013 Polskiej Akademii Filmowej za najlepsze kostiumy: Magdalena Jadwiga Rutkiewicz-Luterek, najlepsze zdjęcia: Arkadiusz Tomiak, najlepszy dźwięk: Barbara Domaradzka i Piotr Domaradzki, oraz tego najważniejszego - najlepszy film dla Marcina Krzyształowicza. I choć jest to film, który niełatwo sobie drugi raz zadać, raz obejrzeć na pewno warto.

* * *

Konferencja w Wannsee:

http://pl.wikipedia.org/wiki/Konferencja_w_Wannsee

Philip Zimbardo i jego eksperyment więzienny:

http://pl.wikipedia.org/wiki/Eksperyment_więzienny

* * *

Dołączam również recenzję Jarosława Kolasińskiego z jego strony fotoKolaseum.pl, bo są w niej rozważania z innego punktu widzenia. Oto fragment:

...„Obławie" zarzucając kłamstwo, traktuje się film ten niczym kartkę z podręcznika historii polskiej wojny partyzanckiej. A przecież dzieło sztuki (a nim film jest niewątpliwie) to nie agitka, ni wykład historyczny. *„Niech sobie szanowny recenzent wyobrazi* – oburza się internauta - *że przyszłe pokolenia będą się z niego* [filmu Krzyształowicza -jk] *uczyć historii..."* a tu przecież *„bohaterów narodowych pokazuje jako bandziorów, którzy chcą za przeproszeniem rżnąć"*. Pomijając fakt, że bohater narodowy nawet u nas ma pełne prawo do seksu, to zdałoby się nieco umiaru w ocenach. Przy okazji da się chyba jednak zauważyć ten prosty fakt, iż „Obława" to nie film dokumentalny. Nie jest też fabularną i kompletną panoramą polskiej partyzantki. Nie wdając się w dyskusję, czy reklamowe hasło „najbardziej wstrząsający film roku" pewnych granic nie przekracza, udając, że zwiastun dotyczy w pełni tego właśnie filmu, warto jednak zwrócić uwagę na widoczny na plakacie napis: *„zdrada ma wiele twarzy"*. Wątpliwości najmniejszej nie ulega, że zdrad w czas wojny popełniano wiele. A każda z nich była inna, co zdradzającymi powodować mogło i powodowało, jaką oni sami za to cenę płacili, jaką ich ofiary – temat to zawsze wart refleksji, dyskusji. W niej właśnie Krysztalowicz swym filmem głos zabiera, ale dyskutantów-widzów – tak rzecz przynajmniej widzę (mogę się mylić) – mniej to jakoś zajmuje. A szkoda. Podwójna nawet, gdyż jeśli potraktować „ *Obławę*" jako znakomitą (brutalną przy tym) wiwisekcję charakterów naszych rodaków osaczonych wojną, postawionych pod ścianą przez potworność okoliczności – trudno ten film oceniać negatywnie. I nie spierać się w kwestii demitologizacji.